

Dzień Tubylczych Amerykanów czy Dzień Kolumba?

12 października 2012



Zbliżał się czwarty kwartał roku 1892. Joachim Klemm, nauczyciel z niewielkiego miasta Czarnków, położonego w północnej Wielkopolsce, z zadziwieniem odnotował opieszałość mieszkańców swojej małej ojczyzny. „Rok 1892” – pisał zdziwiony – „powinien był przynieść nam święto tak wspaniałe, jakiego Czarnków jeszcze nie widział, a mianowicie święto jubileuszowe 700-lecia miasta”. Nadzieje Klemma zmaterializowały się na jesień, o tyle jednak, że w postaci dość osobliwej. W ten sam dzień, obok jubileuszowych odczytów i pieśni na cześć 700-lecia miasta, poprzez chóralne odśpiewanie tekstu pod wymownym tytułem „Kolumb”, uczczono również 400-lecie odkrycie Ameryki. Wszystko to pod koniec XIX wieku, na prowincji północnej Wielkopolski, na terenie ówczesnego zaboru pruskiego.

Owe incydentalne, powiedziałałby ktoś, wydarzenie sprzed 120 lat, w rzeczywistości obrazuje nam jak głęboko w świecie pojęć symbolicznych i zbiorowych, zarówno ludzi epok minionych, jak i tej całkiem współczesnej, osadziło się chwalebne wyobrażenie podróży genueńskiego żeglarza. Dokonania Krzysztofa Kolumba przedstawiają się z tej perspektywy jako podręcznikowy

przykład odwagi, przygody, wreszcie zdolności do spoglądania poza horyzont znany i dostępny natenczas ludzkości. Podróż Kolumba nadal spowija ten sam podniosły nimb, przypominający idealizację, którą w renesansowej Europie otulano czasy starożytnej Grecji i Rzymu. 12 października 2012 roku, jak co roku, w wielu regionach naszej planety, a zwłaszcza na kontynentach amerykańskich, ponownie odbędą się okolicznościowe parady i uroczystości. Znaczna część świętujących zgromadzi się pod spajającym hasłem „Dnia Kolumba”. Od wielu lat atmosferę pikniku i harmonijnych dźwięków orkiestr dętych, towarzyszących obchodom, przerywają pytania o prawdziwe oblicze i motywy stojące za Krzysztofem Kolumbem oraz kolonizacją którą w zasadzie zapoczątkował. Głos ten choć trwały i nie milnący, nie zdobył sobie jeszcze odpowiedniego rezonansu. Co wiemy? Czy pamiętamy? Czy jako ludzkość wyciągnęliśmy morał z tej wielkiej lekcji historii, która nie kończy się, a trwa i zatacza kręgi?

Gdy 12 października 1492 roku Krzysztof Kolumb, bracia Pinzonowie i kilkudziesięcioosobowa grupa marynarzy po raz pierwszy ujrzeli amerykańską ziemię, pierwsze wyspy Bahamów, nie odkryli Ameryki, więcej nawet nie odkryli jej dla Europejczyków. Co najwyżej, dokonując istotnego przełomu dla ówczesnego stanu wiedzy, uświadomili im jej istnienie, dobitnie i namacalnie. Oba kontynenty amerykańskie, i okalające je wyspy, miały już swoich mieszkańców. I tak jak w Europie cieszymy się sąsiedztwem Szkotów, Czechów, Szwedów, Włochów, Serbów i Portugalczyków, tak i po drugiej stronie Atlantyku, Kolumb i jego kontynuatorzy nie spotkali Indian jako takich, a rozliczne narody i grupy kulturowe, które trwały i żyły na całej długości, od Alaski po Ziemię Ognistą, i to w zależności którą perspektywę obierzemy, od dziesiątek tysięcy lat bądź więcej, od zarania dziejów. Krzysztof Kolumb w roku 1492 nie spotkał aniołów, jak ukazywała później Rdzennych Amerykanów literatura idealistyczna i pokutnicza, nie spotkał także ludów dzikich i barbarzyńskich, jak pragnęli widzieć ich koloniści i niektórzy filozofowie. Spotkał ludzi

dokładnie takich samych jak My, będących częścią tej samej ludzkości. Jest ironią i chichotem historii, że niemal nigdy, tak wtedy jak i dziś, rdzenne społeczności obu Ameryk nie doczekały się prawdziwie równego i godnego traktowania, w tym również w literze prawa.

Ilu ich było? Ilu Tubylczych Amerykanów zamieszkiwało kontynenty amerykańskie gdy statki Kolumba po raz pierwszy osiągnęły wody Morza Karaibskiego? Odpowiedzi udziela nam naoczny świadek hiszpańskiej konkwisty, Bartolomeo de Las Casas: „ziemie odkryte do 1541 roku” – pisze – „są tak pełne ludności, jak rojne ule – wydaje się, że Bóg umieścił na nich przeważającą część rodu ludzkiego”. Relacje podróżników i konkwistadorów z XVI wieku, potwierdzają ten krajobraz. Gdziekolwiek Europejczycy się nie pojawiali, płynąc Amazonką, przybijając do brzegów wysp karaibskich, podróżując wzdłuż wschodnich wybrzeży Ameryki Północnej i penetrując jej południowo-wschodni interior, dalej także w Meksyku, Ameryce Środkowej i w Andach, wszędzie widzieli wielkie osady, wsie i miasta, z których w oddali było widać kolejne. Badania i dociekania współczesnych archeologów i historyków potwierdzają w dużej mierze te relacje.

Do dzisiaj żywym jest przekonanie, że Kolumb szczególnie wyróżnił się spośród gorzkich motywacji i celów które przyświecały jego kontynuatorom. Według tej wersji, genueński żeglarz był podróżnikiem, który marzył jedynie o kolejnych nowych morskich horyzontach. Tymczasem wszelkie świadectwa, spisane także jego piórem, przedstawiają nam dalece bardziej skomplikowaną sieć dążeń i pragnień włoskiego żeglarza. Podczas przymusowego pobytu na Jamajce, w trakcie swej czwartej podróży, pisał on do hiszpańskich monarchów takie oto słowa: „Złoto – to doskonałość. Złoto tworzy skarb i ten, kto je posiada, może dokonać wszystkiego, czego zapragnie, może nawet dusze ludzkie wprowadzić do raju”.

W dzienniku z pierwszej podróży Kolumb pisze o mieszkańcach Baham jako ludzie łagodnym do którego należałoby podejść

raczej „z miłością niż siłą”. Dwa lata później, w 1494 roku w liście wysłanym z Hispanioli, czyli dzisiejszej Haiti i Dominikany, wyraźnie zmienia ton: „przekażcie Ich Wysokościom, że troska o dusze kanibali i mieszkańców Hispanioli przywiodła mi na myśl, że im więcej ich zostanie dostarczonych do Kastyliei, tym lepsze to będzie dla nich... Ich Wysokości zechcą zgodzić się i dać prawo przybijania tam dostatecznie dużej liczbie karawel rocznie w celu dostarczenia bydła, żywności i innych rzeczy niezbędnych dla skolonizowania kraju i uprawy na polach. Zapłatą za to mogą być niewolnicy kanibale – ludzie okrutni i nadający się do tego celu, dobrze zbudowani i dość pojętni. Jesteśmy przekonani, że wystarczy wyciągnąć ich z tego upodlenia, a będą najlepszymi niewolnikami; przestaną natomiast być nieludzcy jak tylko znajdą się poza granicami swojego kraju” – taką ofertę na ręce króla Ferdynanda i królowej Izabeli złożył pierwszy admirał ich królewskich mości. Był to o tyle ofensywny ruch ze strony Kolumba, że gdy w 1496 roku do Hiszpanii dotarły statki z kilkuset indiańskimi niewolnikami na pokładzie, królowa wstrzymała nawet ich sprzedaż do czasu zasięgnięcia opinii wśród księży i prawników. Podczas podróży po basenie Morza Karaibskiego, Kolumb miał się podobnych praktyk co inni odkrywcy tamtych czasów. Uprawdzał lokalnych mieszkańców na statki, by ci przymusowo służyli mu za przewodników. Gdy hiszpańska szlachta wszczęła bunt na Hispanioli w końcu ugiął się, wraz ze swoim bratem Bartłomiejem i zaakceptował wprowadzenie pańszczyzny, systemu repartimento, który wraz z pochodem konkwistadorów, obejmował kolejne połacie Ameryki. Oznaczało to przydział ziemi wraz z jej mieszkańcami, dla poszczególnych hiszpańskich pretendentów. Rdzenni Mieszkańcy stawali się niewolnikami na swojej ziemi, przydzielonymi niczym własność z polami, na których musieli odtąd przymusowo pracować.

Indiańskie narody, które stawiały opór i nie godziły się na kuratele Hiszpanów, na mocy dekretu wydanego w pierwszych latach XVI wieku przez króla Ferdynanda, mogły być jako jednostki i społeczności „wrogie bądź kanibale” obracani w

niewolę, uciążliwszą i jeszcze bardziej dosłowną. Choć sam Krzysztof Kolumb w zasadzie stracił polityczny wpływ na kolonie po 1498 roku, to jego duch jeszcze przez dziesięciolecia i wieki unosił się nad kolonizowaną i zagrabianą Ameryką. Nadmienmy tylko, że jego syn Diego de Colon w pierwszych dekadach XVI wieku, odzyskał prawo do tytułów przynależnych mu po ojcu i wywierał wpływ na działania korony hiszpańskiej na Karaibach.

Indianie Taino, Subtaino i Cibonejowie oraz ich państwa położone na Hispanioli, Kubie, Jamajce, Portoryko i Bahamach, zostali niemal całkowicie wyniszczeni w ciągu kilku dekad od pierwszej podróży Kolumba do Ameryki. W rezultacie epidemii na które nie mieli immunologicznej odporności, przymusowej pracy ponad siły, a także wojen i okaleczeń, kilkumilionowa populacja niemal znikła z powierzchni ziemi. W 1524 roku na Kubie doliczono się nie więcej niż czterech tysięcy Indian, kronikarze którzy nieco ponad piętnaście lat później pojawili się na Hispanioli, mówili już tylko o kilkuset osobach.

Scenariusz ten, w mniejszej bądź większej skali powtarzał się przez następne dziesięciolecia i wieki w innych częściach obu Ameryk. „Gdziekolwiek Hiszpan trafił, tam jakby pożar przeszedł, trawiący wszystko na swej drodze” – snuł ponurą refleksję Pedro Cieza de Leon, podróżujący po podbitym już Peru. Niejednokrotnie szybszymi niż żądni zysku i pozycji społecznej konkwistadorzy, były choroby ze Starego Kontynentu, niewidzialny wróg, który jakkolwiek nie celowo zawleczony na zachodnią półkulę, czynił spustoszenia tym dotkliwsze. Zanim Pizarro dotarł do Tahuantinsuyu, imperium Inków, kilka lat wcześniej, olbrzymich strat przysporzyła lokalnym społecznościom epidemia ospy. Gęsto zaludnione obszary południowej i południowo-wschodniej Ameryki Północnej, zostały w znacznej mierze wyludnione zanim zaczęły być penetrowane na dobre przez Francuzów i Anglików. Kolonizatorzy, bez względu jakiej byli chorągwi, wykorzystywali nacje dziesiątkowane przez fale kolejnych epidemii, prowadzili makiaweliczną grę,

wykorzystując antagonizmy między poszczególnymi tubylczymi narodami. Szacuje się, że uderzenia chorób: odry, grypy, ospy i tyfusu, na które rdzenni mieszkańcy Ameryki nie posiadali immunologicznej odporności, na przestrzeni kolejnych dziesięcioleci przyczyniały się do uszczuplania populacji lokalnych społeczności nawet o 95% stanu pierwotnego.

Zanim Hernan Cortes wkroczył do środkowego Meksyku, obszar ten zamieszkiwało ponad 25 milionów Indian. Nieco ponad sto lat później, w tej samej lokalizacji, doliczono się niespełna 740 tysięcy osób. Ustawiczna eksploatacja, związana także ze zmianą trybu życia i diety, w niektórych miejscach prokurowała większy odsetek zgonów. Do końca XVIII wieku plemiona z Florydy: Apalachee, Timucua i Calusa i inne, liczące sobie na początku XVI wieku około 300 tysięcy istnień, o niemal przestały istnieć.

Pojawia się tu doniosłe pytanie, które za każdym razem, gdy tylko je przytoczyć, budzi wielkie kontrowersje, i zdobywa sobie tyle samo zwolenników, co przeciwników. A mianowicie... Czy epopeja zapoczątkowana przez Krzysztofa Kolumba doprowadziła do ludobójstwa Rdzennych Mieszkańców Ameryki? Na przestrzeni kolejnych wieków znikwały całe społeczności i narody. Pomimo tego, w gronie tzw. legalistów możemy usłyszeć, iż o ile można mówić o wyniszczeniu, to nie o ludobójstwie, gdyż ten ostatni termin wymaga politycznej i celowej motywacji, obliczonej na taki właśnie efekt. Kolonizatorzy, według tej wersji, mieli uprawiać jeno cyt. „eksploatację bez troski o kondycję podbitej ludności”. Uważam, że zajęcie podobnego stanowiska jest tyleż uogólniające co życzeniowe. Także i korona hiszpańska, która według umiarkowanych głosów, miała postępować bardziej humanitarnie niż chociażby późniejsi kolonizatorzy angielscy, przez długi czas stosowała politykę bliską polaryzacji „podporządkowanie i uległość, albo niewolnictwo i eksterminacja”. Trzeci gubernator Brazylii Mem de Saa, z ramienia korony portugalskiej, w trakcie 15 lat swojego urzędowania zdążył zniszczyć 300 wiosek wokół

Salwadoru, stolicy kolonii, poddając przy tym celowemu wyniszczeniu plemię Tupinamba. Także i kolonizatorzy francuscy, przedstawiani jako najbardziej kordialni i zainteresowani handlem, nie wahali się posuwać do środków ostatecznych. Na początku XVIII wieku francuski król wydał nawet dekret nakazujący eksterminację plemienia Lisów, gdy te stanęło na drodze francuskich interesów w regionie Wielkich Jezior. I celu tego pewnie by dopięto gdyby plemię Fox nie otrzymało wsparcia od swych sąsiadów z ludu Sauk.

Bezprzykładne postępowanie kolonizatorów ze wszystkich krajów europejskich, znajdowało sobie niestety kontynuację wśród rządów nowopowstających krajów na obu kontynentach. Krewny pierwszego prezydenta Urugwaju, Fructuoso Rivery, otoczył i dokonał okrutnej masakry ostatniej dużej 3-tysięcznej społeczności ludu Charrua. Rząd Argentyny w latach osiemdziesiątych XIX wieku przeprowadził celową kampanie wypierania i wyniszczania ludów z Patagonii, które podobnie jak te z amerykańskiej prerii, oswoiły i wprowadziły do swej kultury konia. Tehuelcze i Puelcze stanęli na przeszkodzie do opanowania wielkich przestrzeni na południu Argentyny, i również znaleźli się na celowniku nowych pokoleń kolonizatorów. Podczas gorączki kauczukowej na przełomie XIX i XX wieku, na terenie całej Amazonii prawdziwej hekatombi doświadczyły rozliczne tubylcze nacje. Niektóre straciły 2/3 swojej populacji, inne zostały całkowicie wyniszczone. Andrew Jackson, najpierw jako generał a potem prezydent Stanów Zjednoczonych, osobiście prowadził wyniszczającą kampanię przeciwko plemieniu Seminole z Florydy. Podczas gorączki złota w Kalifornii, zapoczątkowanej w 1849 roku, w ciągu nieco ponad 20 lat, ze 120 tysięcy rdzennych mieszkańców przeżyło nie więcej niż 30 tysięcy. W mieście Shasta wypłacono nagrody za głowę Indianina przyniesioną do ratusza.

Osobliwym pozostaje to w jaki sposób przez wieki ideolodzy i filozofie czasów konkwisty próbowali mimo wszystko usprawiedliwiać dzieło ekspulsji i podbojów. Chociaż papież

Paweł III, ogłosił w 1537 roku, iż Indianie mają dusze i w istocie są ludźmi, kilkanaście lat później, czołowy ideolog podboju, Sepulveda, podczas debaty w Valladolid starał się dowodzić, że jest zupełnie inaczej. Zatrważającym jest to w jaki sposób te zgoła rasistowskie założenie, ostawało się i budziło się do życia w różnych regionach Ameryki, przez następne wieki. Polski podróżnik, Mieczysław Lepecki, który w dwudziestolecie międzywojennym przemierzał odległe regiony Paragwaju zwierzał się swoim czytelnikom z zażenowaniem: „Indianie Guayaqui nie są ludźmi, są zwierzętami. Zdanie takie słyszałem na każdym kroku od Paragwajczyków, a nawet od niektórych Europejczyków”. Podejście te otwarcie konstytuowali filozofowie XIX wieku. I tak oto Hegel dowodził, iż Ameryka była fizycznie i psychicznie bezsilna a jej kultura tak ograniczona, że musiała wygasnąć, gdy tylko duch zbliżył się do niej. Także John Stuart Mill, głośno mówiący o prawach jednostki i wolności, otwarcie wierzył w istnienie ludów barbarzyńskich, w których interesie leży podbicie i utrzymanie w poddaństwie w celu „poprawy moralnej”.

I choć niektórzy XIX-wieczni historycy kolonializmu okrutnie konstatowali, że „błogosławieństwa cywilizacji ogołociły już amerykański kontynent z jego rdzennych mieszkańców”, to Tubylczy Amerykanie, choć doświadczeni w najgorszy z możliwych sposobów, nigdy tak naprawdę nie zniknęli, wnosząc do wspólnego dziedzictwa historii ludzkości niemniej niż mieszkańcy pozostałych kontynentów naszego globu. Dzisiaj Rdzenni Amerykanie kontynuują to dzieło, przejawiając swoją aktywność we wszystkich dziedzinach tworzonych i rozwijanych przez ludzkość. Znajdziemy wśród nich wspaniałych artystów, muzyków, aktorów, literatów, ludzi nauki i sztuki. I tak jak w XIX wieku prezydentem Meksyku był posiadający zapoteckie korzenie, Benito Juarez, dziś prezydentem Boliwii jest wywodzący się z ludu Aymara, Evo Morales. Rdzenni Amerykanie organizują się i tworzą skuteczne stowarzyszenia we wszystkich krajach, walcząc za ich pośrednictwem o prawa własne i innych. W bieżącym roku, dziesiątki Indian z Federacji Tubylczych

Ludów Wschodniej Amazonii pojawiło się na ulicach 500 tysięcznego peruwiańskiego miasta Iquitos, by ostrzec mieszkańców przed niebezpieczeństwami odwiertów naftowych w dorzeczu rzeki Nanay: „Ostrzegamy ludzi z Iquitos, że woda z dorzecza Nanay dostarczana do miasta jest poważnie zagrożona działalnością eksploatacyjną. My, rdzenni mieszkańcy, którzy doświadczyliśmy tej katastrofy, informujemy, że będziemy walczyć razem z nimi w obronie prawa. Woda nie jest towarem, woda jest prawem”.

Pomimo wielu podniosłych przykładów duch Kolumba rozpostarty nad Ameryką po 1492 roku, jeszcze nie rozrzedził się i nie opadł tak zupełnie. W wielu regionach Ameryki, Tubylczy Amerykanie wciąż zmagają się z paternalistyczną polityką, a gdzie indziej z linią relacji, przypominającą stare sprowadzone wzorce zaboru i dominacji.

KRZYSZTOF KOLUMB I KOLONIZACJA AMERYKI – KILKA FAKTÓW

– Krzysztof Kolumb w liście z 1503 roku do królowej Izabelii i króla Ferdynanda: „Złoto – to doskonałość. Złoto tworzy skarb i ten, kto je posiada, może dokonać wszystkiego, czego zapagnie, może nawet dusze ludzkie wprowadzić do raju”.

– Krzysztof Kolumb w notce skierowanej do monarchów w 1494 roku: „przekażcie Ich Wysokościom, że troska o dusze kanibali i mieszkańców Hispanioli przywiodła mi na myśl, że im więcej ich zostanie dostarczonych do Kastylii, tym lepsze to będzie dla nich...Zapłatą za [pomoc gospodarczą podczas kolonizacji]... mogą być niewolnicy kanibale – ludzie okrutni i nadający się do tego celu, dobrze zbudowani i dość pojętni. Jesteśmy przekonani, że wystarczy wyciągnąć ich z tego upodlenia, a będą najlepszymi niewolnikami; przestaną natomiast być nieludscy jak tylko znajdą się poza granicami swojego kraju”.

– W 1496 roku do Hiszpanii docierają pierwsze statki z kilkuset indiańskimi niewolnikami, wysłane za aprobatą Krzysztofa Kolumba i jego brata Bartłomieja. Wątpliwości

moralne sprawiły, że królowa Izabela wstrzymała ich sprzedaż do czasu zaczerpnięcia opinii u księży i prawników.

– W 1509 roku król Ferdynand zezwala na bezprzykładne obracanie w niewolników Indian zamieszkujących Bahamy. Powód? Byli doskonałymi nurkami, którzy następnie byli zmuszani do połowu pereł na rzecz konkwistadorów i hiszpańskiej korony. Do pierwszej połowy XVI wieku bahamscy Indianie, którzy jako pierwsi przywitani Kolumba w 1492 roku, zostali całkowicie wyniszczeni lub wywiezieni ze swojej ojczyzny.

– W ciągu 50 lat, kilkumilionowa populacja Indian Taino, Subtaino i Cibonejów, zamieszkująca Kubę, Jamajkę, Hispaniolę (Haiti, Dominikana), Portoryko i Bahamy została niemal całkowicie wyniszczona przez choroby, wojny, wyzysk i prace w nie ludzkich warunkach, prowadzącą w dalszej kolejności także do fali samobójstw i dzieciobójstwa. W 1524 roku na Kubie doliczono się zaledwie 4 tysięcy Indian, na Hispanioli po 1540 roku zanotowano już tylko kilkuset rdzennych mieszkańców.

– Kacyk Hatuey, który zbiegł z Hispanioli na Kubę, a następnie został złapany i spalony przez hiszpańskich konkwistadorów: „bogiem białych ludzi jest złoto”.

Autor: Damian Żuchowski
Dla „Wolnych Mediów”